

Uwielbiam godzinę osiemnastą. Jestem już po całym dniu zapieprzania niczym wół roboczy. Dom, praca, uczelnia, dom, praca, uczelnia i tak w kółko.

Punkt osiemnasta trzydzieści zjadam ostatni posiłek tego dnia, następnie kładę się na łóżku, zatracając w chwili relaksu.

Nie potrwa on długo. Znając życie, tuż po dziewiętnastej zadzwoni Robert, Artur albo Maciek, bądź moja dziewczyna Patrycja.

Spotykam się z nią od przeszło roku. Moja wybranka ma do mnie stalowe nerwy i mnóstwo cierpliwości. Właśnie za to kocham ją najbardziej.

Tak jak przewidziałem, pierwszy dzwoni Artur.

- Się ma! Co porabiasz?

- Nic, czego nie mógłbym przerwać. Co proponujesz? – odpowiadam.

Głos po drugiej stronie słuchawki zaczyna się śmiać.

- Grand, czy Figar?

Są to nazwy dwóch najczęściej odwiedzanych przez nas klubów.

- A może by tak dla odmiany coś innego?

- Jestem otwarty na wszelkie propozycje.

- Zawiniemy Maćka, Roberta, Długiego i lecimy do centrum. Na miejscu rozejrzemy się.

- W takim razie dzwonię do Roberta i Długiego, ty pogadaj z Maćkiem.

- Dobra, za jakieś dwadzieścia minut zdzwaniamy się.

Natychmiast dzwonię do Maćka. Oczywiście przystaje na propozycję. Od razu umawiamy się w „Rico”, czyli pubie oddalonym trzy przystanki autobusowe od mojego miejsca zamieszkania. Tam po wypiciu paru piw, ruszamy na miasto.

Chwilę po zakończonej rozmowie z Maćkiem, dzwoni Patrycja. Zdaję sobie sprawę, że czeka mnie z nią przeprawa.

- Cześć kochanie – zaczynam rozmowę najmiłszym tonem głosu.

Dziewczyna czyta mnie jak poranną prasę. Nie inaczej jest tym razem.

- Bez ściemy, dziś się nie spotkamy?

- No..wiesz... - jąkam się i płaczę nie mając pomysłu na rozsądne wytłumaczenie, że jest najwspanialsza, najcudowniejsza, ale najbardziej kocham ją za spostrzegawczość i wyrozumiałość. W końcu jakoś się odnajduję i faszeryję ją tandetną gadką o spostrzegawczości oraz wyrozumiałości.

- Aha, za spostrzegawczość i wyrozumiałość mówisz. W takim razie nara, jestem umówiona z Moniką i Martyną. Jakoś zdzwonimy się jutro.

Mimo usilnych prób kontynuowania rozmowy, rozłącza się. Nie dowiedziałem się nawet gdzie idą. Jestem pewny, że zrobiła to wszystko celowo. Choć z drugiej strony wiecznie tylko ona ma być wkurzona? Tym razem odpłaciła mi pięknym za nadobne. Nie ma, co wariować skończy się dwoma, no góra trzema dniami fochów i embargiem na to i owo.

Tymczasem dzwoni Artur:

- Za godzinę w Rico.

- Okej - przyjmuję do wiadomości.

Sześćdziesiąt minut później, siedzę z Arturem przy jednym ze stolików, sącząc pierwsze dzisiejszego wieczora piwo. Po upływie kolejnych minut, dołącza do nas Maciek. Obaj moi kumple są w szampańskich nastrojach. Ma on zawsze miejsce przed piątkowo - sobotnim lub sobotnio - niedzielnym melanzem.

- Co z Robertem i Długim? - Pytam.

- Pantofle siedzą w chałupie z chomątem na szyi.

Wszyscy parskami śmiechem. Maciek od razu przechodzi do rzeczy:

- Mam kozaka - wymiatacza!

Gada tak, za każdym razem, kiedy wejdzie w posiadanie nowego specyfiku zazwyczaj z niewiadomego źródła. Teraz jednak jego euforia jest nadspodziewanie widoczna.

- Dawaj to! Sprawdzimy twoją wiarygodność! - Mówi Artur.

- A czy kiedykolwiek, zawiodłem któregoś z was?

- No nie.

- A więc do dzieła.

Kumpel wręcza każdemu z nas ciemno fioletową, prostokątną tabletkę.

Faktycznie, Maciek nigdy żadnego z nas nie zawiodł. Można lubić, bądź nie lubić odmienne stany świadomości, które przynajmniej raz na dwa tygodnie nam fundował. Ale na pewno nie można powiedzieć, że kiedykolwiek wcisnął kit. Diabli wiedzą skąd on to bierze? Moim osobistym zdaniem, najprawdopodobniej od swojego brata ciotecznego z wykształcenia chemika. Ale to tylko moje domysły.

Łykamy po tabletkę, czekamy pięć minut i... nic. Mija dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści minut i dalej

nic.

Rozmawia nam się dobrze, śmiejemy się, ale poza dobrym nastrojem, dalekim jednak od ponadprzeciętnych odczuć, nic się nie dzieje. Siedzimy, gadamy, gadamy, gadamy i wtedy ma miejsce pierwszy niespodziewany znak czegoś, z czym nigdy wcześniej żaden z nas nie miał styczności.

Zdążyliśmy przedyskutować wszystkie tematy, gdy Artur po spojrzeniu na zegarek, blednie.

Mniej więcej pamiętam, która była godzina w chwili zażycia specyfiku. Teraz z całą odpowiedzialnością, stwierdzam niemalże zatrzymanie czasu.

Mówię niemalże, ponieważ każda sekunda na zegarku odpowiada, na moje intuicyjne wyczucie, dziesięciu faktycznym minutom.

Szok! Pierwszym wrażeniem jest szok. Wszyscy milkniemy patrząc to na siebie, to na zegarki. Postanawiam spojrzeć w stronę gości siedzących przy stolikach obok. Każdy ich ruch jest tak jakby w zwolnionym tempie, niczym odtwarzany klatka po klatce film. Natomiast dźwięki rozmów, przypominają odgłos wciąganej przez magnetofon kasetowy taśmy.

Cały świat wokół zwolnił. Jakie to jest uczucie? Trudno powiedzieć. Wszystkie okoliczności są oszalamiające. Nijak nie mogę, albo nie jestem w stanie, albo sam już nie wiem jak to nazwać, po prostu nie ogarniam tego, co się obecnie dzieje, a to dopiero początek.

Nie mam pojęcia ile minut minęło. Pewnym jest, że do tej pory ciągnący się czas, nagle wystrzeliwuje niczym z katapulty.

Wychodzimy z Rico. Artur próbuje wezwać taksówkę. Ma jednak problemy z obsługą telefonu. Szkoda mi każdej sekundy, zobaczywszy kremowego Mercedesa ze świecącym, złotym napisem „TAXI” na dachu, biegnę w jego stronę.

Udaje mi się go dopaść, za chwilę wsiadamy do auta.

- Gdzie jedziemy?

- Centrum

- Do Centrum.

- Pierwsza lepsza ulica w Centrum.

Odpowiadamy wspólnie w sposób skoordynowany.

Wysiadamy z samochodu, płacę za kurs i już po chwili idziemy jedną z głównych, śródmiejskich ulic.

Euforia to pryszcz przy tym, co czuję. Mam wrażenie, że jestem w stanie wnikać w umysł, każdej mijanej osoby. W głowie mam niesamowity mętlik powodowany strzępkami wychwyconych myśli.

- Fajna świnią - myśli grubas, gapiący się na zajebistą blondynkę.

- Gdzież by tu iść najpierw – głowi się typ ubrany w elegancką niebieską koszulę i spodnie w kant.
- Ale się dzisiaj napierdole – z uśmiechem na twarzy wnioskuje chłopak niemający więcej niż siedemnaście lat.
- Dziś muszę się z kimś przespać – po tej szatynce, nie spodziewałbym się takich planów na dzisiejszy wieczór.
- Walnę browar i spadam do domu, muszę się wyspać.
- Ale się odwaliła, idiotka.
- Zajebisty towar, zajebisty towar, zajebisty towar.
- Kurwa, czy on zawsze musi się spóźniać.
- Co mu powiedzieć?

Wszystko są to słyszane przeze mnie myśli przechodniów. Wzrok mam doskonały, można by powiedzieć sokoli. Dostrzegam wszystkie barwy, odcienie z niesamowitą intensywnością. I ten zapach powietrza. Zmysł węchu wychwytuje wszystkie jego składowe. Spaliny, nagrany przez promienie słoneczne asfalt, aromat parzonej kawy, herbaty, czuję hamburgera, kebab i zapachy ludzkich ciał, zmieszanych z wonią perfum. Rozpoznaje paco rabane, bossa, joopa, prade. Obecny jest także odór wódki, piwa, whisky. Wszystko to miesza się, cały czas zmieniając proporcje. Na czymkolwiek skoncentruje się, natychmiast to wiem. Wiem, jaka odległość dzieli mnie od klubu, chwila, chwila, oddalonego dokładnie o sto pięćdziesiąt dwa metry. Wiem, że jest tam ful gości, dlatego wpuszczają tylko dziewczyny i to też nie wszystkie. Doskonale zdaje sobie sprawę, iż jeden z ochroniarzy jest wyrzuconym dyscyplinarnie z policji, nadużywającym narkotyki typem. Drugi to czynnie uprawiający kickboxing zawodnik. Trzeci jest dobrym znajomym właściciela klubu. Zerka tylko, na co ładniejszą dziewczynę, uśmiechając się liczy, że za jakiś czas będzie ją dymał na zapleczu.

Co ciekawe, wiem także, że dzisiaj nic nie zwojuje, a o godzinie czwartej wróci zmarszczony do domu.

Stoimy przed drzwiami klubu, Maciek otwiera je, wchodząc pierwszy. Co do joty sprawdza się mój scenariusz.

- Impreza zamknięta - słyszymy.

Chwilę później, błyska mi przed oczyma flesz niesamowicie jaskrawego światła.

Znów idziemy ulicą, jestem obserwowany, czuję to. Odwracam głowę widząc całkiem fajną brunetkę. Dziewczyna idzie do dyskoteki „Blue”. Nie jest sama. Towarzyszą jej cztery koleżanki. Czy można trafić lepiej. Nie wiem jak działania tabletek odczuwają moi kumple, ja w każdym bądź razie, czytam w myślach oraz widzę przyszłość. Jak do niej podejść zagadując, skończę z nią za kilka godzin w łóżku. Odwracam się w stronę kumpli. Nie ma ich! gdzieś zniknęli!

- Poszli do Wermutu – podpowiada podrasowany do granic możliwości umysł. Skąd ja to wiem?! Nie ważne, wkurwiony idę do nich. Tymczasem czas jeszcze bardziej przyspiesza. Znów oślepia mnie błysk flesza.

Stoję na środku pubu szczelnie zasłaniając twarz. Przede mną chwieje się na nogach jakiś typ, mający solidnie obitą głowę. Przygląda nam się dwadzieścia siedem osób, a barman dzwoni na psy. Wybiegamy stamtąd. Mam krew na rękach. Artur daje mi chusteczki higieniczne. Wyjmuję od razu dwie.

- Solidnie go obileś. Ale był sobie winien.

Nie odzywam się, nic mi na ten temat nie wiadomo.

Uśmiecha się do mnie ładna szatynka. Od razu wiem ile ma lat, jak się nazywa, gdzie mieszka, z kim jest, gdzie już dzisiejszego wieczora była i gdzie zmierza teraz. Nic więcej nie chcę wiedzieć.

Podchodzę do niej – Cześć Sandra – mówię, wyciągając rękę w geście przywitania. Dziewczyna stoi jak wryta.

- Skąd... skąd wiesz jak mam na imię? - pyta przemilutkim, cud głosem.

- Jesteś piękna jak Sandra - bajer trochę drętwy, najważniejsze jednak zrobił element zaskoczenia.

Poza tym podobam się jej, musiałbym jej ubliżyć, aby nie chciała ze mną rozmawiać. Dostaję słowotoku, gadam jak nakręcony. Pyta mnie o hobby, górnolotnie mówię:

- Książki, uwielbiam czytać książki - trafiam w sedno.

- Jaka jest twoja ulubiona pozycja? – pyta Sandra, nie kryjąc uśmiechu.

- Rozumiem, że chodzi o pozycję książkową? – odpowiadam niegrzecznie, bo pytaniem na pytanie.

Oboje śmiejemy się.

- Jakżeby inaczej – odpowiada, a kręcony lok opada wzdłuż twarzy.

W odpowiedzi daje jej kilku minutowy wykład z historii literatury. Moja rozmówczyni patrzy na mnie z otwartą buzią. Chwilę później, właśnie w tą otwartą, tylko tym razem nieco szerzej, buzię wkładam penisa. Ma to miejsce w damskiej toalecie.

Orgazm trwał chyba z dziesięć minut. Pierwsze cztery minuty były boskie, kolejne dwie fantastyczne, natomiast ostatnie cztery męczące. Chciałem to opanować, skończyć, ale nie byłem w stanie. Kiedy ochłonąłem zapragnąłem swojej partnerce odpłacić pięknym za nadobne.

Flesz.

Stoję przy barze, z wtuloną we mnie Sandrą. Ma maślane oczy, w kółko powtarza: - Kocham cię.

Chyba stanąłem na wysokości zadania.

Artur z Maćkiem tańczą na parkiecie niczym dwaj zawodowi tancerze. Wokół nich tańczy siedemnaście dziewczyn, gdyby tylko chcieli, każda przedstawicielka płci pięknej będąca w klubie mogłaby być ich. Czuję wrogość w umysłach obserwujących parkiet chłopaków. Z klubu wychodzimy wspólnie. Moi kumple wyrwali niezłe dupy, wszyscy lecimy do kolejnej dyskoteki.

Flesz.

Wypiłem duszkiem drugie piwo, a mimo to czuję niesamowite pragnienie. Ledwo odstawilem szklanke, a język do ust wpycha mi Sandra.

- Chcę się ruchać - mówi mi na ucho, a na koniec gryzie w małżowinę, jest niezłe.

Chce mi się łać, przepraszam na chwilę swoją towarzyszkę, kierując kroki w stronę kibla. Aby się do niego dostać, należy zejść piętro niżej.

Schody są wąskie, kręte, niemiłosiernie długie i podświetlone na niebiesko, chyba nigdy się nie skończą.

Stoję w toalecie, czując coraz bardziej nasilające się mdłości. Szybko wbiegam do kabiny. Na szczęście wyszedł z niej gość wyglądem przypominający pingwina. Nachylam się nad klopem, czuję zaciskający się żołądek, nic jednak nie zwracam. Zamiast tego bekam głośno. Skoro już jednak tu jestem, rozpinam rozporek. Zaczynam łać. Stoję i leję, leję i stoję i tak do czasu aż czuję, iż wraz z moczem uchodzi ze mnie energia. Muszę temu zapobiec! Kończę oddawanie moczu, zapinam rozporek i wychodzę z kabiny. Myję ręce, wycieram je papierowym ręcznikiem, a na koniec wyjmuję z kieszeni paczkę gum do żucia. Wkładam do ust od razu trzy drażetki. Przez chwilę kubki smakowe rejestrują intensywnie miętowy smak. W połowie drogi między łazienką, a schodami, podchodzi do mnie brunetka. Nie wnikiem w to jak ma na imię, nie interesuje mnie, co myśli. Koncentruje się na jej dużych, umiejętnie wyeksponowanych piersiach.

Ułamek sekundy później, dusi mnie wpychanym do ust językiem. Czuję jej piersi na klatce piersiowej, ma niesamowicie jędrne ciało.

Flesz.

Dochodzę do końca podświetlanych na niebiesko schodów. Nie mam pojęcia czy cycatka była prawdziwa, czy też był to wytwór mojej wyobraźni.

Robię trzy kroki i doznaję olśnienia, wiem, że ona była naprawdę, do tego swym ciętym języczkiem ukradła mi gumę do żucia. Słyszac „No Good” Prodigy, spoglądam na parkiet, z wrażenia aż zatrzymuję się. Wszyscy zarówno tańczący jak i stojący obok, obdarci są ze skóry. Każdy ich mięsień napina się, każde ścięgno drga zgodnie z wykonywanym ruchem. Niektórzy piją coś czerwonego.

Flesz.

Stoję przy barze, obok Sandry. Cały czas muszę zapewniać, że ją kocham. Powtarzam to po raz dwusetny. Czynię to niczym zaprogramowany robot. Moja towarzyszka, tak samo jak cała dyskoteka jawi mi się, jako film rysunkowy. Ale jazda, mogłoby tak już zostać.

Flesz.

Stojąc na zewnątrz, patrzę na wejście do klubu. Sandra nieco z boku szarpie się z właścicielką boskiego biustu. Nie mam pojęcia, o co chodzi? Docierają do mnie strzępki wykrzykiwanych przez nie słów mieszające się z piosenką jakiegoś boys - bandu.

- Zostaw go, to mój chłopak!

- Spierdalaj idiotko!

- Ty suko!

- Szmata!

Ich myśli są jeszcze gorsze. Wolałbym ich nie słyszeć, ale niestety słyszę! Nie wiem, gdzie są moi kumple. Próbuję namierzyć ich telepatycznie.

Co ja gadam? Próbuję namierzyć ich telepatycznie! Co to w ogóle za myśl? Co za impuls? Chyba zwariowałem.

Jakiś gość szarpie Sandrę i cysatkę. Podchodzę do niego. Idiota pieprzy od rzeczy, wymierzam mu prawy prosty.

Flesz.

Spokojnym, spacerowym krokiem, idziemy wzdłuż brzegu rzeki dzielącej na dwie części nasze miasto. Z obydwóch stron idą ze mną pod rękę dzisiejsze zdobywcy. Równie dobrze, każda z nich mogłaby powiedzieć to samo. W milczeniu upajamy się każdą, nigdy niemającą powtórzyć się sekundą naszej egzystencji, analizując zagadnienie ulotności chwil ludzkiego życia.

Zaraz, zaraz, co mnie interesują ulotne chwile ludzkiego życia?

Flesz.

Przede mną rozciąga się piękna panorama miasta. Wspaniale jest móc obserwować powoli budzące się do życia miasto. Wzruszam się widząc światło, które każdym swym promykiem, każdą swą wiązką wygrywa walkę z wycofującą się w panice ciemnością. Czuję jak budzą się ptaki, radośnie świergocząc ku czci nowego dnia. Wiatr powoli, nieśpiesznie zagląda w zakamarki ulic, delikatnie muska każdą napotkaną przeszkodę. Następnie omija ją z wdziękiem, maestrią i gracją.

Ale, co ja robię na dachu dwudziestopiętrowego wieżowca? Gdzie są wszyscy?

Podchodzę do krawędzi. Kilka małych punkcików przemierza chodnik pode mną. Pozostałe nieco większe, poruszają się ulicami. Na żadne z pytań nie znam odpowiedzi. Może gdybym bardziej skoncentrował się, coś by się w tym temacie zmieniło. Spoglądam na spodnie. Jeszcze wczoraj były ciemno niebieskie, teraz są czarne. Rozdarta w dwóch miejscach, jeszcze kilka godzin temu niebieska koszulka, przypomina... nic mi nie przypomina! Wygląda jakby ktoś ją zjadł, częściowo przetrawił i zwrócił. Jedyne buty da się z tego wszystkiego uratować. Gdzieś zostawiłem kurtkę, na szczęście telefon komórkowy, jak i klucze do mieszkania mam przy sobie. Gdzieś jednak zgubiłem zegarek. No nieźle, ponad cztery stowy w plecy.

Wyjmuję telefon – Kurwa! Nie ma zasięgu! - nie kryję się ze swym zbulwersowaniem, zresztą, kto mnie stąd usłyszy? Nawet megafon by nie pomógł. Starczy tego, wracam do domu. Idę w stronę niewielkiej zabudowy, próbuję otworzyć jedno z okien, dzięki któremu dostałem się na dach. Nagle słyszę straszliwy huk za plecami.

Stoję zwrócony twarzą w stronę miasta, widzę cztery płonące bloki mieszkalne. Słyszę mieszające się w jeden wielki jazgot krzyki ludzi, niektórzy skaczą z okien wyżej znajdujących się pięter. Po chwili prze-

latuje mi nad głową myśliwiec. Huk jest tak niesamowity, że padam na kolana. Chwilę później podnoszę głowę. Na horyzoncie dostrzegam dziesiątki samolotów zmierzających w moją stronę. W ich tle widzę ogień i dym. To bombowce bombardujące moje miasto! Za moment nie będę miał domu! Zginą moi najbliżsi! Zginą wszyscy! Nie ogarniam sytuacji, mam dość. Niech działanie tego gówna się skończy! Nigdy więcej tego nie wezmę! A jeżeli to się dzieje naprawdę?!

Czuję jakbym z niesamowitą prędkością spadał w dół.

Flesz.

Jestem w „Rico”, obok mnie z nieobecny wzrokiem zajmuje swoje miejsce Artur. Maciek w zasadzie niczym się od niego nie różni. Siedzi tępo gapiąc się w szklankę nienapoczętego piwa, z prawego kącika ust spływa mu ślina. Niesamowita suchość w gardle wymaga abym napił się złocistego napoju. Wypijam duszkiem całą szklankę. Nic to jednak nie daje. Suchość jak była, tak jest.

Co ciekawe, pub wygląda tak samo jak w momencie, kiedy tu przyszedłem. Identyczne towarzystwo, w identycznym składzie siedzi przy stoliku obok, oraz naprzeciwko. Z niepewnością patrzę na zegarek.

No tak, minęło jakieś pięć minut. Nawet piwo nie straciło CO₂. Cała wizja trwała pięć minut!

Doznaje olśnienia:

- Jutro wybuchnie wojna! Za parę godzin będzie nalot! Trzeba wszystkich ostrzec! Zginą tysiące niewinnych ludzi!

Zimny prysznic pojawia się równie szybko, co stan olśnienia.

- Kto mi w to uwierzy?!

Nie chcąc robić z siebie pośmiewiska, daruję sobie uświadamianie ludzkości o nadciągającym zagrożeniu. Wykonuję kilka głębokich wdechów, co chwila przeskakując wzrokiem z bawiącego się przy stoliku obok towarzystwa, na swoich kumpli. Tamci śmieją się, wygłupiają, żartują, co chwila racząc piwem. Kumple natomiast wyglądają marnie. Macham dłonią przed twarzą Maćka. Ociężale kieruje głowę w moją stronę. Jego wzrok jest mętny, zmęczony. Tak samo sprawy mają się w przypadku drugiego z moich przyjaciół.

Co z tego, że jest dopiero kilkanaście minut po dwudziestej drugiej. Na dziś mi wystarczy.

- Dzwonie po taksówkę. Nie wiem jak wy, ale ja wracam do domu – powoli cedzę każde ze słów.

- Też mam dość.

- Ja też.

Odpowiadają zgodnie towarzysze. Teraz czeka nas kilka minut oczekiwania na pojazd. Choćbym nie wiem jak się spiął, nie dałbym rady wracać autobusem. Niby do przystanku jest niedaleko, nie mam jednak siły.

Dzwoni telefon. Przesuwam palcem po ekranie, przykładam aparat do ucha – Halo? – Mój głos jest

zmęczony.

Okazuje się, że to pani z korporacji dzwoni w celu potwierdzenia przyjazdu taksówki. Oczywiście potwierdzam wcześniejsze zgłoszenie.

Za pięć minut mamy być przed pubem. Wiem jak będzie wyglądało wyjście, dlatego od razu wstaję, w ślad za mną podąża Maciek, Artura trzeba do tego zmotywować.

Stoimy przed wejściem, mijani przez kilkusobowe grupki osób. Nie odzywamy się do siebie. Rozglądam się. Poszczególne obrazy rozmazują się, tylko po toby po chwili uformować się w niesamowicie wyraziste kształty domów, wystaw, okien, latarni, przejeżdżających pojazdów. Podjeżdża taksówka, powolnym krokiem idziemy w jej stronę. Siadam na siedzeniu pasażera obok kierowcy. Maciek z Arturem zajmują miejsca z tyłu.

- Molinezyjna osiem – mówię, chowając twarz w dłoniach.

- Tak wczesna pora, a panowie już...

Taksówkarz cały czas gada, mi zupełnie nie chce się odzywać. Dlatego, po tym jak kończy zdanie słowami „jadą do domu”, zapada cisza.

Dojeżdżamy na miejsce – dwadzieścia złotych – mówi kierowca, spoglądając na mnie w dziwny sposób. Doskonale wiem, że jechał naokoło, lecz nie mam ochoty na jakąkolwiek wymianę słowną, płacę, a następnie wysiadam z auta.

Flesz.

Pędzę po schodach na dół wieżowca. Kątem oka dostrzegam otwierające się drzwi mieszkań.

- Co się dzieje?!

- Co za hałasy?!

- Kurwa spać nie dają!

- Wyjrzyj pan przez okno!

Mieszają się głosy niesione echem. Kolejna fala eksplozji i przeraźliwych krzyków, każą mi jak najszybciej wydostać się na zewnątrz budynku. Potrącam straszą kobietę, przewracając się, spada kilka schodków w dół. Dobiegam do niej, pomagając wstać.

- Uciekaj, ratuj się, tyś młody – mówi kobieta.

Wybiegam na zewnątrz. Miasto płonie. Większość budynków pali się, natomiast z dachów wydobywają się kłęby dymu. Niebo już dawno straciło niebieski kolor, teraz jest szare. Czuję zapach spalenizny. Potrąca mnie krępy mężczyzna. Zamiast "przepraszam" krzyczy – Z drogi!

Na trawniku leżą nadpalone zwłoki młodej dziewczyny, obok spoczywa pozbawiony kończyn tułów najprawdopodobniej jej partnera.

Ulice zalane są mnóstwem biegających ludzi. Rozrywający bębny huk przelatującego myśliwca, poprzedza serię kilku eksplozji. Zza rogu najbliższego budynku lecą najrozmaitsze fragmenty ludzkich ciał, zmieszane z pyłem walących się budynków. Krzyk nasila się. Pędzę w przeciwną stronę, o mało nie wpadając pod jadący z maksymalną prędkością autobus. Odskakuję w ostatniej chwili. Pojazd z wyjącem do granic możliwości silnikiem, taranuje przystanek, wbijając się w sklepową wystawę. Znowu huk myśliwca i znowu eksplozje. Wybiegam na jedną z głównych ulic. To niesamowite, stoję w miejscu jeszcze kilka godzin temu tętniącym życiem, teraz natomiast zamienionym w pustynię. Ocalało kilka zaledwie budynków, nad wszystkim unosi się niesamowita ilość kurzu, z którego wyłaniają się płonące lub konające sylwetki mieszkańców oraz wraki pojazdów. Charakterystyczny terkot śmigłowca, wytrąca z chwili zamyslenia. Owy terkot, miesza się z dźwiękiem ciężkiego karabinu maszynowego.

Czuję pieczenie w klatce piersiowej. Odruchowo dotykam dłonią miejsca, będącego źródłem nieprzyjemnego uczucia. Widok krwi, poprzedza setki mrugających przed oczami punkcików.

Flesz.

Leżę na ziemi. Nieznacznie obracam głowę w lewo, następnie w prawo.

Ulica, leżę na środku ulicy. Tuż obok, stoi kilka osób i zaparkowana zaraz przy przejściu dla pieszych taksówka. Ciemność nocy rozświetlają latarnie. Kilka pojazdów zwalnia, po chwili przyspiesza, znikając w miejskiej dżungli. Chce się ruszyć, niestety nie czuję kończyn.

Próbuję przynajmniej unieść głowę. Nawet to mi się nie udaje.

- Nie widziałem go! Wyszedł nagle, niemalże wchodząc wprost pod maskę! – głos mówiącego jest drżący, nerwowy.

Czuję niesamowitą falę chłodu. Jest przenikliwy, strasznie nieprzyjemny. Kieruję wzrok na przyglądających się ludzi. Ich twarze wyrażają lęk. Po kolei odwracają głowy, unikając mojego spojrzenia.

- Gdzie Maciek? Gdzie Artur? – zadaję w myślach pytania, zwieńczone tym najważniejszym – Co się do diabła stało?

Słyszę dźwięk pojazdu uprzywilejowanego. Niebieski błysk intensywnego światła przebija się w światłach latarni, przenikając okolicę, jednocześnie odbijając się od przeszklonej wiaty przystanku autobusowego.

Dwóch, ubranych na biało ludzi, pochyla się nade mną. Jeden przykładą dłoń do szyi.

- Zgon – mówiąc na koniec – Którą mamy godzinę?

Drugi zerka na zegarek – Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt trzy.

- Jak to kurwa zgon? Przecież ja żyję. Co prawda nie mogę się ruszyć, ale jeszcze żyję – Chcę, każde ze słów wykrzyzczyć, niestety... nie mogę. Liczę na flesz, po którym wszystko wróci do normy. Zbliżający się facet, niesie w ręku czarną folię.

- Przecież... przecież... a zresztą – czuję bardzo błogie uczucie senności, zwieńczone fleszem.

KONIEC

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

G.G, dodano 04.02.2018 12:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.